

ROZMACH I PRZEPYCH „POD PEGAŻEM”. PONADTO MNÓSTWO CUDOWNEJ MUZYKI WSPANIAŁY CHÓR, WIRTUOZOWSKA ORKIESTRA I KILKA PIĘKNYCH GŁOSÓW SOLOWYCH. A NA FINAŁ – ŻYWE KONIE. ALE ZABRAKŁO METAFIZYCZNEJ ŁZY.

Tłum pożera Borysa

„Borysa Godunowa” Modesta Musorgskiego nie słucha się może z przyjemnością, ale na pewno z wielką satysfakcją. Zamiast draperii koloratur – podniosłe tony rosyjskiej prozodii. Zamiast przyjemnych harmonii – zgrzytliwe dysonanse. Zamiast koronek i tiulu – powaga zbiorowego bohatera i człowieczy dylemat. A wszystko ujęte w mozaikę historycznego fresku. Aktualnego zarówno wtedy, jak też tu i teraz. Dramat niedoli i dramat władzy, przepyszna cerkiew, niemoralny jezuita i polska szlachcianka. I żałobne proroctwo prostaczka.

Reżyser, scenograf i aktorzy mogą z tej opery stworzyć prawdziwe misterium. A iza uroniona nad Godunowem nie musi być żałobna, wstydliwa i banalna. Wszelako poznański reżyser i scenograf (**Marek Weiss-Grześniński**) postawił na realizm, choć nie zawahał się zastosować kilku oryginalnych, niemal surrealistycznych rozwiązań. Udał mu się prolog, ale montaż elementów scenografii, z chwilą gdy odzywają się dzwony, ma charakter nieco bezładny. Rozczarowuje scena z udziałem Pimena, bo sąsiedztwo głośnia na proscenium nie tworzy odpowiedniej oprawy dla przedłużonego monologu. Epatuje też dziwactwem krypa, którą zastąpiono gospodę w scenie z Karczmą. Udał się za to epilog w postaci sceny pod Kromami, choć wprowadzenie żywych koni kojarzy mi się z cyrkiem, i to wcale nie olimpijskim. Zresztą ów epilog, którym zastąpiono scenę śmierci Borysa Godunowa, jest rozwiązaniem ze wszechmiar szczęśliwym. Uprawomocnił on koncepcję reżysera – społeczną miast indywidualistycznej.

Poznański spektakl obywa się bez opozycji: tłum – jednostka. Po prostu tłum pożera niejako Borysa – zbyt słabego, pozbawionego tak specyficznie rosyjskiego skrzyżowania smutnej duszy i władczego spojrzenia. To wina **Romualda Tesarowicza**, choć przecież pięknie śpiewa, znakomicie podaje tekst i psychologizuje postać gestem czy grymasem, ba – nawet timbrem swego szlachetnego głosu. Zabrakło w nim jednak – godnego władcy – stalowego wzroku spod krzaczastych brwi i gromkiego forte, którym byłby przygotowany na rozgromienie ludu. Borys umiera jednak już w prologu, choć dzwon nie wieści mu przecież jeszcze śmierci.

Za to tłum naprawdę imponuje. Tym tłumem jest chór – gęsty, nasycony, odpowiednio zdynamizowany

przez sola (choć te nie wyszły najlepiej). Stanowi on filar przedstawienia. To jemu właśnie, jako najlepszej „partii” naszego teatru operowego, należał się ten „Borys Godunow”. Dla tego chóru warto było

się bezładny), to przecież uzmysławia prawdę zawartą w dramacie, a nawet w swoisty sposób ją przeinterpretowuje. Czy trzeba więcej?

Genialność muzyki Musorgskiego podkreślają zarówno głosy, jak i orkiestra. Barwna, miejscami wirtuozowsko poprowadzona orkiestra (**Jose Maria Florencio Junior**) jest jednym z lepszych wykonawców spektaklu. Po prostu słysząc z kanału, że dyrygent miał dużo czasu na przestudiowanie partytury, wysmakowanie harmonicznych zgrzytów i melodycznych kontrapunktów. Nie ma w tym wykonaniu ekstazy, ale jest jednak perfekcyjne rzemiosło.

Nieźle w zasadzie okazują się dyspozycje solistów, którzy wystąpili w premierowym przedstawieniu. Pię-

gorij), który nie radzi sobie z rosyjską fonetyką, niefortunnie zmiękcza-jąc twarde głoski, a na dodatek śpiewa Samozwańca w manierze belcanto. Pozostałe partie, o epizodycznym zresztą znaczeniu, wypadają na ogół bez zarzutu, choć nogi Karczmaki (**Urszula Jankowiak**) okazują się lepsze od jej głosu, a pomysł obsadzenia syna Borysa – Fiodora przez kontratenora (**Tomasz Rączkiewicz**) nie uważam za najszcześniejszy.

Ogólnie rzecz biorąc poznański „Borys” jest dobry, lecz nie świetny. Brakuje mu metafizyki, głębokiej zadumy, brakuje charyzmy. Jest za to realizm, jest przepych i bogactwo, jest mnóstwo cudownej muzyki i poezji w niezłym wykonaniu. Chyba



Na zdjęciu: Przepych i realizm to jedna z cech poznańskiego „Borysa Godunowa”

Fot. J. Multarzyński

operę tę zrealizować. W prologu pojawia go odpowiednia uprofilowana scena, poniżając tłum wobec władcy, a w finale – także dzięki scenie – zostaje on z kolei wywyższony, choć triumf zbiorowego bohatera gorzko komentuje Jurodiwy. I nawet jeśli chór-tłum stanowi zbyt statyczny element spektaklu (wytłumaczyć to można za małą powierzchnią sceny, na której bardziej gwałtowny ruch takiej masy ludzkiej mógłby wydać

nie śpiewają przede wszystkim **Wita Nikołajenko** (Maryna) i **Sylwester Kostecki** (Szujski), którzy prezentują też świetną ruszczyznę. W roli Warłama dobrze sprawdza się wokalnie i aktorsko **Bogdan Kurowski**, choć tu z wymową tekstu jest już gorzej. Zdecydowanie słabiej natomiast wypada **Jerzy Ostapiuk** (Pimen), prezentujący obok słabej dykcji przeforsowany i zmęczony głos, a także **Michał Marzec** (Gri-

więc nie wypada pisać o niedosycie, wynikającym z faktu, że nie widziałem jeszcze „Borysa” swoich marzeń – zwłaszcza (czy szczególnie) w Rosji, gdzie troska o wzbogacenie sensu utworu kosztem realistycznej konwencji byłaby pewnie bluźnierstwem. W Poznaniu zabrakło jednak wzruszeń i zadumy. Zabrakło metafizycznej łyzy.

JAROSŁAW MIANOWSKI